

Juliusz Wiktor Gomulicki

Sędzia Stanisław Aleksander Rybiński - nieznany bohater norwidowskiego procesu Zenona Przesmyckiego z Tadeuszem Pinim : 1934-1938

Palestra 46/3-4(531-532), 138-158

2002

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

KARTY HISTORII



Juliusz Wiktor Gomulicki

Sędzia Stanisław Aleksander Rybiński – nieznany bohater norwidowskiego procesu Zenona Przesmyckiego z Tadeuszem Pinim. 1934–1938

I

W latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku odrodził się w Polsce „pitawal”, czyli osobliwy sensacyjno-historyczno-procesowy gatunek literacki, zawdzięczający swą nazwę terminologiczną nazwisku francuskiego adwokata Franciszka Gayot de Pitaval (1673–1743), jako autora zbioru najbardziej głośniejszych w historii prawa procesów kryminalnych. W Polsce tego samego rodzaju sensacyjne relacje pojawiły się już w połowie XIX w. (H.E. Glücksberg, *Czarna księga. Zbiór najciekawszych procesów kryminalnych...*, 1848; L.T. Tripplin, *Tajemnice społeczeństwa*, 1852), ale po nich nastąpiła na długo cisza, raz tylko okazjnie przerywana analogicznymi materiałami z XVIII w. Stanisława Wasylewskiego (*Sprawy ponure*, 1922).

Wspomniane wyżej „odrodzenie” zainauguował dopiero Stanisław Szenic (1904–1987), prawnik, kolekcjoner i popularyzator sensacyjnych materiałów historyczno-obyczajowych, który w latach 1955/57 – zafascynowany reportażowym *Pitavalem praskim* Egona Erwina Kisch – opublikował analogicznie potraktowany *Pitaval warszawski*, zyskując od razu poklask licznych amatorów tego rodzaju literatury sensacyjnej (ten pierwszy tom „Czytelnik” ogłosił w dwóch wydaniach, obejmujących razem ponad 30000 egzemplarzy!), co ważniejsze zaś – natychmiast inspirując innych autorów, którzy zabrali się do opracowywania analogicznych zbiorów pitawalowych.

Dobrze znałem te sprawy, ponieważ na prośbę Szenica – którego poznałem za pośrednictwem Józefa Chudka, znanego bibliofila, a ponadto kolegi Szenica z Insty-

tutu Spraw Międzynarodowych – „uksztaltowałem” w dużej mierze pierwszy tom owego pitawała, wypożyczając autorowi posiadane przez siebie materiały historyczne, albo wskazując takie, jakie mógł znaleźć w bibliotekach.

Ten właśnie tom, po raz drugi ogłoszony w roku 1958, wpadł w ręce adwokata Olgierda Missuny (1904–1977), równie (jeśli nie lepiej) władającego piórem jak i jego kolega-rówieśnik i natychmiast podsunął mu pomysł, żeby dopełnić go, już na własną rękę i zgodnie ze swą wiedzą oraz z własnymi upodobaniami (a dzięki swej żonie-plastykce Halinie, miał liczne kontakty ze światem artystycznym), analogicznym dziełem historyczno-anegdotycznym, zatytułowanym *Warszawski pitawał literacki*.

Otóż i tym razem – zapewne dzięki pośrednictwu Szenica – odegrałem pewną rolę w opracowaniu owej książki, której treść autor zawęził do lepiej mu znanego okresu 1886–1938, co stało się przedmiotem dwóch naszych rozmów, przy czym w trakcie pierwszej mogłem mu się przysłużyć tylko niewielką garścią informacji, podczas gdy druga, na której mu szczególnie zależało – dotyczyła bowiem procesu o spuściznę literacką po Norwidzie, a ja byłem jego „najwyższym autorytetem” – zaowocowała nawet (o czym niżej) specjalnie skreśloną dla niego notatką.

Oto jednak, jak cała ta historia rozegrała się i jakie pociągnęła następstwa.

II

Missuna (mówiąc nawiasem) słusznie wybrał do omówienia późniejszy i dłuższy z dwóch kolejnych literackich procesów Przesmyckiego, ponieważ ów wcześniejszy, wytoczony przez niego w 1932 r. redaktorowi tygodnika „Jutro Pracy”, dotyczył głównie rękopiśmiennej spuścizny po Hoene-Wrońskim i tylko marginalnie zahażył o sprawy norwidowskie. Proces ów Miriam wygrał (napiszę o tym kiedy indziej), ale jego przebieg, wielokrotnie omawiany w prasie, przyniósł mu w rezultacie szkodę, utrwalając w pamięci obserwatorów jego niemiły i nieprawdziwy wizerunek jako „harpagona literackiego”. Najwięcej krzywdy wyrządziły mu wówczas złośliwe wypowiedzi Antoniego Słonimskiego, który już od 1921 r. miał osobistą pretensję do Przesmyckiego, a co najmniej od 1929 złośliwie wyśmiewał go na łamach „Wiadomości Literackich”. Wypowiedzi Słonimskiego ośmieliły z kolei innych krytyków, którzy zaczęli pisać o Przesmyckim, że to w ogóle „wielkość na kredyt” i „Boa dusiciel”, ukrywający przed zainteresowanymi badaczami cenne rękopisy literackie.

Wszystkie tego rodzaju wypowiedzi były wodą na młyn Tadeusza Piniego, który stał się w owym czasie zawodowym edytorem-kompilatorem, szybko, ale niedbale, przygotowującym do druku popularnie opracowane „pisma zbiorowe” tych wielkich poetów polskich, których prawa autorskie albo już dawno wygasły (Mickiewicz, Słowacki, Krasiński), albo miały wygasnąć w najbliższych latach. Do tych ostatnich należały przede wszystkim prawa autorskie do spuścizny literackiej Norwida, upływające w roku 1933. On to również w połowie roku 1931 napadł w

swoim artykule *O pomoc dla Norwida* („Gazeta Warszawska” nr 153) na siedemdziesięcioletniego wówczas Przesmyckiego, nie licząc się zupełnie z takimi ogólnie znanymi faktami, że to był nie tylko autentyczny „wskrzesiciel” Norwida, ale również największy znawca jego twórczości oraz jej znakomity edytor. To on przecież w latach 1911–1913 opublikował cztery woluminy *Pism zebranych* tego poety, przerwane z konieczności na piątym, który utknął w krakowskiej drukarni z powodu wybuchu pierwszej wojny światowej, ale jeszcze podczas okupacji niemieckiej dopełnione przez edytora obszernymi fragmentami jego trzech nieznanych, a niezmiernie ważnych poematów.

Otóż lata powojenne nie sprzyjały z różnych powodów kontynuacji owej przedwojennej edycji, choćby tylko ze względu na ujawnianie się wielu nieznanych wcześniej rękopiśmiennych tekstów poety, które w dużej mierze albo rozbijały dawny układ *Pism*, albo też przynosiły takie informacje, jakie winny być uwzględnione w tomach już ogłoszonych. Miriam stale powiększała zresztą swoją ogromną wiedzę o twórczości Norwida i ciągle zdobywał jego nowe teksty, ale nie był już w stanie przełamać owych przeszkód i zabrać się na własną rękę do nowego krytycznego wydania całości, w żadnym zaś przypadku nie chciał pracować nad byle jakim popularnym wydaniem zbiorowym. Nigdy wszakże nie protestował przeciw ogłoszonym wtedy popularnym wyborom poezji Norwida albo osobnym edycjom jego prozy fabularnej.

Artykuł Piniego – który domagał się od Miriama szybkiego dokończenia przedwojennej edycji, sam zaś Norwida nie cenił i w ogóle nie rozumiał, a ponadto nie posiadał dostatecznej wiedzy o jego rozproszonej a już opublikowanej twórczości literackiej – musiał go jednak nie tylko rozgniewać (Pini ośmielił się żądać od Miriama, żeby nareszcie „wyszedł z zabagnionej sytuacji!”), ale również poważnie zaniepokoić. „Czyżby Pini – mógł wtedy pomyśleć – sam się przygotowuje do tego rodzaju edycji, która mogłaby się ukazać już nas początku 1934 roku?”.

Pierwszą jego reakcją na artykuł Piniego było gwałtowne przyspieszenie własnej, a zaniebanej pracy, a mianowicie nad obiecany Mortkowiczowi przypisami do nowego dużego tomu Norwidowych *Poezji wybranych*, którego tekst główny (poetycki) został już wydrukowany na początku lat dwudziestych, ale który, opatrzone przypisami Miriama, ukazał się w sprzedaży dopiero na samym początku 1932 r., przynosząc m.in. kilkanaście pierwodruków poetyckich. Drugą – opublikowanie pod sam koniec 1933 r., nakładem Fundacji Wydawniczej Leopolda Wellisa, trzech osobnych tomików *Ineditów* Norwida, z których pierwszy zawierał *Resztę wierszy odszukanych do dziś, a dotąd jeszcze niedrukowanych* (było tam zaś 69 pierwodruków wierszy drobnych oraz duży utwór cykliczny *Salem*), drugi – pierwodruk słynnej już dzisiaj tragedii *Pierścień Wielkiej Damy*, a trzeci (najmniejszy) – siedem *Rozprawek epistolarnych*. Razem – była to niesłychana niespodzianka, która w znakomitej mierze poszerzyła i dopełniła (zwłaszcza w przypadku rozproszonych wierszy *Vade-mecum*) całą twórczość Norwida.

To szybkie, a zarazem tak późne i z konieczności pozbawione bezcennych przy-

pisów edytora wydanie owych norwidianów było dla Przesmyckiego – z wykształcenia prawnika, a do niedawna jeszcze konsultanta Komisji Prawniczej, na której oceniano na nowo przepisy prawa autorskiego – gwarancją, że żaden z ogłoszonych wtedy pierwodruków Norwida nie wejdzie do przygotowywanego do druku „omnibusu” norwidowskiego, który miał opracować Tadeusz Pini.

Początkowo był to jedynie domysł, później informacja „gadana”, a w maju 1934 r. już całkowita pewność, w „Gazecie Warszawskiej” bowiem z 21 maja tego roku (nr 153) wydrukowano następującą informację: „W najbliższym czasie ukaże się zbiorowe, popularne i tanie wydanie pism Norwida w opracowaniu prof. T. Piniego”.

Co Przesmyckiemu pozostało? Jedynie niecierpliwe wyczekiwanie na ukazanie się w sprzedaży owego omnibusu, a następnie dokładne sprawdzenie, jak Pini go opracował, a także – co było szczególnie ważne – czy nie naruszył w nim praw autorskich przysługujących w pewnej mierze samemu Przesmyckiemu.

Jakie to były prawa? Otóż takie, jakie – zdaniem Przesmyckiego-prawnika – przysługiwałyby mu z dwóch odrębnych powodów i w zgodzie z dwoma przepisami obowiązującego wówczas w Polsce prawa autorskiego z 29 marca 1926 roku.

Po pierwsze – na mocy przelania na jego osobę tych praw przez ich ówczesną posiadaczkę, a mianowicie Marię Julianową Łempicką (1863–1928), jako jedyną córkę Ksawerego Norwida (1825–1864), młodszego brata poety (starszy, Ludwik, zmarł bezdzietnie w roku 1881). Stało się to w roku 1908, przy czym sformułowane w osobnym dokumencie intencje pani Łempickiej zostały potwierdzone w roku 1934 przez jej spadkobierców (obydwa dokumenty znajdowały się w aktach procesowych). Co ważniejsze, prawa owe, które teoretycznie wygasłyby w 50 lat po zgonie Cypriana Norwida, czyli w roku 1933, zostały przedłużone – na podstawie artykułu 20. obowiązującej w czasie procesu ustawy o prawie autorskim – w stosunku do tych utworów zmarłego autora, które zostały ogłoszone drukiem dopiero w ostatnim dziesięcioleciu trwania jego praw autorskich.

Otóż w przypadku Norwida przepis ów chroniłby wszystkie jego inedita ogłoszone drukiem w latach 1924–1933, w szczególności zaś wspomnianą powyżej tragedię oraz kilkadziesiąt mniejszych utworów poetyckich z *Reszty wierszy*. Należy dodać, że zarówno tomik z *Pierścieniem* jak i ów z *Resztą wierszy* (obydwa drukowane pod sam koniec 1933) nosiły *verso* swoich kart tytułowych wymowną informację: „Wszystkie prawa zastrzeżone”.

Po drugie – zgodnie z własną interpretacją Przesmyckiego dotyczącą artykułu 7. nowego prawa autorskiego, przysługiwały mu ponadto „samoistne prawa własne”, jego opracowanie bowiem wielu rękopisów Norwida, bardzo trudnych do odczytania albo do właściwego wyboru konkretnej „lekcji” w odczytanym brulionie, posiadały przewidziane w ustawie „cechy twórczości”.

Przysługujących mu od 1908 r. praw autorskich Przesmycki nigdy nie wykorzystywał w stosunku do innych wydawców Norwida, na przykład Romana Zrębowicza (1910, 1922) albo Stanisława Cywińskiego (1924), gdy zapoznał się jednak z

edycją Piniego, w której nie tylko wykorzystano pierwodruki utworów Norwida, opublikowane w latach 1924–1933, ale ponadto:

1. opuszczono (brak odpowiedniego przygotowania edytora) kilkanaście już opublikowanych utworów poetyckich;
2. poszczególne takie utwory włączono do niewłaściwie przydzielonych im partii genologicznych;
3. w autentycznych tekstach Norwida w niedopuszczalny sposób skasowano tak istotne dla jego twórczości podkreślenia (spacja) i łączniki międzywyrazowe, a także wielokrotnie a świadomie użyte przez poetę duże litery inicjalne;
4. wiele wyrazów uległo zniekształceniu, tracąc swój właściwy sens (niechlujność kopisty czy niewrażliwość edytora i korektora?);
5. „poprawiono” interpunkcję Norwida, wielokrotnie usuwając świadomie użyte przez niego pauzy lub pytajniki, a wreszcie (listy nie można bowiem zbytnio przedłużać)
6. wyjaśniono w „przypisach” (a *Dzieła* Norwida nie były chyba przeznaczone dla młodzieży szkolnej) takie np. rzadkie i niezrozumiałe wyrazy, jak „krynolina” lub „mandolina”.

Co więcej – a dla Miriama musiało to być dowodem szczególnego barbarzyństwa – *Dzieła* poprzedzono obszerną (44 s.) przedmową Piniego, który, najwidoczniej nie czując, co mogą sobie pomyśleć o nim niektórzy jej czytelnicy, dziesiątki razy starał się udowodnić, że Norwid to poeta przeceniony, w rzeczywistości zaś drugorzędny, niezrozumiały, ale za to zarozumiały, „przeszkody” zaś, które „często zupełnie świadomie stawia czytelnikowi na drodze zrozumienia swych utworów, odstręczają i zniechęcają, bo plon poszukiwań jest zbyt mały w stosunku do pracy”.

Znakomitą puentę tego rodzaju wypowiedzi Piniego stanowiło jego końcowe wyznanie, że wydanie pism Norwida „powstało wyłącznie z obowiązku dostarczenia prenumeratorom Biblioteki Poetów Polskich tych dzieł (...), tak głośnych i poszukiwanych, a nie znajdujących się w handlu księgarskim”. Nie zabrakło w tym kupieckim wyznaniu i kilku słów o Zenonie Przesmyckim. Nie o tym jednak, który wskrzesił Norwida i ocalił jego rękopiśmienną spuściznę literacką, ale o „wytworzonym wydawcy”, w którego opracowaniu „rozpoczęto uroczyście” publikować *Pisma zebrane przed ćwierćwieczem*. „Urwały” się one po trzech pierwszych (ani słowa o przyczynie tego „urwania”) „i już nie odżyły”.

Miały one oczywiście odżyć w wydaniu Piniego, a chociaż „znajdą się w nim braki, że (...) pokażą jakieś błędy”, to nikt jednak nie zaprzeczy mu „zasługi uprzyśpieszenia całemu społeczeństwu niedostępnych mu dotychczas dzieł Norwidowych (...). Zwłaszcza, że nieprawdopodobnie niska cena wyklucza podejrzenie o spekulację”.

A więc jednak zarówno Pini jak Pleban z góry już przewidywali tego rodzaju podejrzenie. Nie przewidzieli tylko (nie poradzili się dobrego adwokata i zlekceważyli zastrzeżenie zamieszczone we wszystkich tomikach *Ineditów*, 1933), że będą mieli do czynienia z naruszeniem praw autorskich Przesmyckiego.

On jednak doskonale znał swoje prawa, toteż już w sierpniu 1934 r., popierany przez dwoje swoich wydawców, Janinę Mortkowiczową oraz Leopolda Wellisza, złożył w Sądzie Okręgowym w Warszawie, skargę przeciwko Tadeuszowi Piniemu i Aleksandrowi Plebanowi (jako przedstawicielowi Spółki Wydawniczej „Parnas Polski”) o naruszenie przysługujących mu praw autorskich. Pełnomocnikami Miriama byli dwaj znani adwokaci warszawscy, Gustaw Beylin (1889–1940) oraz Jan Leśman, czyli Jan Brzechwa (1898–1966).

Oto zaś, w porządku chronologicznym oraz w odpowiednim skrócie przebieg owego procesu.

Sąd Okręgowy, któremu przewodniczył wtedy sędzia Stanisław Aleksander Rybiński (1881–1967) rozpatrzył sprawę na trzech posiedzeniach, które odbyły się pomiędzy 19 lutego a 29 września 1935 r., przy czym obrońcami oskarżonego byli adwokaci Emil Breiter i Zygmunt Millet, a na ostatniej rozprawie wypowiedzieli się również „biegli”: ze strony Przesmyckiego prof. Ignacy Chrzanowski z Uniwersytetu Jagiellońskiego i prof. Józef Ujejski z Uniwersytetu Warszawskiego, a ze strony oskarżonych prof. Aureli Drogoszewski, warszawski historyk literatury i krytyk literacki. Wyrok Sądu Okręgowego ogłoszono 30 września, skazując prof. Pinięgo na 1000 zł grzywny, zamienioną w razie niewypłacalności na 20 dni aresztu, a wydawcę Plebana na 500 zł grzywny, z zamianą na 20 dni aresztu. Ponadto orzeczono pokutne w wysokości 3000 zł, a także konfiskatę książki (ta ostatnia kara została wycofana).

Obaj oskarżeni złożyli apelację, którą Wydział Karny Sądu Okręgowego, pod przewodnictwem sędziego Adolfa Kellera, rozpatrzył 10 maja 1936 r., uważnie wysłuchawszy długiego przemówienia ich pełnomocnika, adwokata Emila Breitera. Wyrokiem tego sądu obaj oskarżeni zostali uniewinnieni.

Analogicznie postąpił Wydział Cywilny Sądu Okręgowego (pomijam tu starania pełnomocników Przesmyckiego dotyczące zajęcia niesprzedanych jeszcze egzemplarzy *Dzieł* oraz reakcję ich przeciwników), który rozpatrzywszy apelację oskarżonych – urzędował zaś wtedy pod przewodnictwem wiceprezesa Tadeusza Szczerpańskiego, sędziego referenta Jana Rowiakowa oraz sędziego Antoniego Bronikowskiego – wydał 29 listopada 1936 r. wyrok oddalający w całości pozew Przesmyckiego oraz zasądający koszty sporu na rzecz Pinięgo i Plebana.

Główną tezę wyroku – natychmiast wykorzystaną jako tytuł sprawozdania z procesu, które ogłoszono we wrogich Przesmyckiemu „Wiadomościach Literackich” – było dobitne stwierdzenie, że dzieła Norwida „stały się własnością narodu”.

Obaj pełnomocnicy Przesmyckiego natychmiast zareagowali na obydwa wyroki i skierowali do Sądu Najwyższego obszerną i bogato udokumentowaną skargę kasacyjną, którą – pod przewodnictwem sędziego Tadeusza Sągajły, w asyście sędziów Kazimierza Fleszyńskiego oraz Dawida Walfisza, a także w obecności prokuratora Seweryna Raczyńskiego – rozpatrzył na dwóch posiedzeniach, 15 i 19 lutego 1937 r. W rezultacie tych debat Sąd Najwyższy, po prawie trzygodzinnej naradzie, uchylił wyrok Sądu Apelacyjnego, który obu oskarżonych uniewinnił, a następnie

przekazał sprawę do ponownego rozpatrzenia przez Sąd Apelacyjny, obradujący w innym składzie sędziów.

Nie wnikając już w dalsze dzieje tego słynnego i wyjątkowego procesu, ograniczę się jedynie, w odpowiednim skrócie, do przywołania tu „obwieszczenia” prokuratora Sądu Okręgowego w Warszawie, głoszącego, że „prawomocnym wyrokiem Sądu Okręgowego w Warszawie z dnia 30 września 1935 r.” (a więc tym wyrokiem, który wydał sędzia Rybiński – JWC) zarówno Pini jak i Pleban „skazani zostali z art. 61 „Ustawy o prawie autorskim” (...) za to, że w roku 1934 w Warszawie wkroczyli umyślnie w wyłączne prawa autorskie Zenona Przesmyckiego i jego wydawców (...) na kary [tu wymieniono dawne kary, dodając, że na mocy „Ustawy o amnestii” ze stycznia 1935 r. kary te zostały im darowane]. Wyrok podlega ogłoszeniu na koszt skazanych w czasopiśmie: „Wiadomości Literackie” i krakowski „Ilustrowany Kurier Codzienny”. – Prokurator w.z. K. Rutkiewicz. Warszawa, 28 stycznia 1938 r.”.

Jakże cieszył się z tego wyroku Zenon Przesmycki oraz jego wydawcy. Jakże tryumfował wtedy sędzia Rybiński, chociaż upadła wówczas podtrzymywana przez niego teza Miriama, stwierdzającego, że przysługują mu również „prawa samoistne”.

O tych prawach napiszę jeszcze w ostatnim rozdziale niniejszego wspomnienia.

III

Drugie moje spotkanie z Missuną odbyło się w sobotę 29 listopada 1958 r., o godzinie 16. Przyszedł na nie w towarzystwie Władysława Daszewskiego (1902–1971), znanego w świecie artystycznym grafika i scenografa, który zasiadł na boku, położywszy przed sobą gruby zeszyt i wyjąwszy ołówek, co nieco mnie zaskoczyło.

– Pan Daszewski, dobry mój przyjaciel – wyjaśnił Missuna – przyszedł, żeby podczas rozmowy odrysować pański profil. Niech pan się tym wcale nie przejmuje, bo my i tak możemy sobie spokojnie porozmawiać. Tym razem, jakeśmy ustalili, o samym Miriamie.

Przyszła kolej na moją wypowiedź, którą w całości poświęciłem omówieniu norwidowskiej biografii Przesmyckiego. Wyjaśniłem wtedy zarówno jego (przypadkowe zresztą) zdobycie w roku 1898 całej spuścizny literackiej po Norwidzie (znajdującej się wówczas w Paryżu, w depozycie u Wacława Gasztowtta), jak i – po upływie paru lat i po zapoznaniu się przez Miriama z najważniejszymi literackimi partiami tej spuścizny – o jego olśnieniu wieloma jej walorami, a także znalezionymi w niej konkretnymi utworami, albo zlekceważonymi, albo zupełnie dotychczas nieznanymi. Scharakteryzowałem również ogromną jego pracę nad poszukiwaniem dalszych tekstów Norwida, rękopiśmiennych albo zagrzebanych w prasie krajowej i zagranicznej (emigranckiej), i wygłosiłem pochwałę jego wiedzy o Norwidzie i o pracowitości, z jaką ją stale powiększał i ulepszał. Rozjaśniłem również skompliko-

wane dzieje wydawanych przez niego *Pism zebranych* Norwida, a przede wszystkim niemożność ich kontynuowania w takiej formie, jaką miały jej pierwsze tomy sprzed roku 1914.

Wskazałem mu również książkę Stanisława Piotra Koczorowskiego *Norwid i dziś*, w której antologista przedrukował najważniejsze wypowiedzi o edycji Piniego. Mieścił się pośród nich również ważny artykuł doświadczonego prawnika, Stefana M. Grzybowskiego, który poddał ostrej krytyce amatorskie wywody Słonimskiego, dotyczące nabytych przez Miriamę praw autorskich do utworów Norwida ogłoszonych w latach 1924–1933.

Daszewski kreślił mój kolejny profil, Missuna zaś – uważnie wysłuchawszy do końca mojej relacji i prawie jej nie przerywając, zadał mi zaraz bardzo konkretne i dobrze wybrane pytanie na temat pewnej wypowiedzi prof. Ignacego Chrzanowskiego, która padła z jego ust jako „biegłego” (eksperta), przywołanego przez pełnomocników Przesmyckiego na trzecie posiedzenie Sądu Okręgowego we wrześniu 1935 r.

– A czy pan się zgadza z wypowiedzią profesora Chrzanowskiego, który bezbłądność norwidowskich publikacji Przesmyckiego przyrównał do bezbłądności książki logarytmów?

– O nie – zaraz odpowiedziałem. – Zawsze będę się nisko kłaniał Miriamowi jako naszemu największemu znawcy Norwida, a także większości jego rozwiązań edytorskich, ale nigdy nie zgodzę się na takie „zlogarytmizowanie” jego wszystkich publikacji norwidowskich. Wiem o tym dobrze, ponieważ już zadałem sobie trud porównania dostępnych dotychczas rękopisów Norwida z ich publikacją przez Miriamę, i wielokrotnie natrafiałem w jego tekstach na poważne błędy. Niektóre mogły wynikać z trudności odczytania pewnych tekstów brulionowych, inne z błędów drukarza i korektora, są jednak i takie, których nie można obronić. Oto na przykład... (po czym przytoczyłem kilka takich, jakie wyrwały mi się w pamięci).

– A czy mógłbym pana prosić o taką krótką notatkę o tych błędach, mnie bowiem trudno będzie je zapamiętać i zanotować.

Zgodziłem się na tę propozycję i już chyba następnego dnia nakreśliłem tego rodzaju notatkę, którą – wykorzystując podkreślaną przez Missunę „legendę” o bezbłądności Miriamy – zatytułowałem nawet „Słówko o pewnej legendzie”, upoważniając go do jej wykorzystania w relacji o procesie Miriamy z Pinim.

Pisanie relacji o norwidowskim procesie było prawdopodobnie albo ostatnim, albo jednym z ostatnich tekstów książki Missuny, już bowiem w marcu 1960 r. otrzymałem od niego egzemplarz *Warszawskiego pitawala literackiego* („Czytelnik”), który autor opatrzył, nazbyt chyba pochlebna, dedykacją: „Wielce Szanownemu p. J. Gomulickiemu z wyrazami głębokiej wdzięczności za pomoc przy pracy nad tą książeczką oraz podziwu dla Jego głębokiej wiedzy i niespotykanej erudycji. – O. Missuna. 10/3 60”.

Pierwszym tekstem, który w niej przeczytałem, był oczywiście artykuł zatytułowany *Proces o prawa do spuścizny literackiej po Cyprianie Norwidzie* (s. 164–85),



Sędzia Stanisław Rybiński

Literackich”, bądź z przemówienia Emila Breitera wygłoszonego podczas rozprawy apelacyjnej oskarżonych.

Jakże było mi osobiście przykro, że ostatnie stronicie tego artykułu zawierały wierny przedruk mego „Słówka”, którego nigdy nie napisałbym, gdybym znał kontekst, w jakim go umieszczono, nazywając mnie przy sposobności (tytułem rewanżu) „najwybitniejszym współczesnym norwidologiem” (s. 182).

zaczynający się zaś od dwudziestu wierszy poświęconych pozytywnej ocenie norwidowskich zasług Przesmyckiego („odkrywca Norwida”, „niemal całe życie poświęcone gromadzeniu rozproszonej twórczości”, „szperacz o benedyktyńskiej cierpliwości, niezwyklej intuicji i pracowitości”, „dziś jeszcze norwidolodzy nie mogą wyjść z podziwu nad doskonałością pracy”), ale już na początku drugiej stronicy dowiadujemy się, że ów tak wychwalony przed chwilą pisarz „z chciwością i skąpstwem posiadacza zagroził swoją osobą dostęp do tych skarbów”.

Resztę relacji – pełnej błędów i niedopuszczalnych przemilczeń (całkowicie przemilczał np. prawne wywody Grzybowskiego) – wypełniło streszczenie znanych Missunie materiałów antymiriamowskich, czerpanych bądź z kronik Antoniego Słonimskiego w „Wiadomościach

IV

Miałem więc do Missuny pretensję, o wiele większą jednak, i to jak najbardziej uzasadnioną, miał do niego sędzia Rybiński, którego ani razu nie wspomniał, ale który z całą pewnością odegrał największą, i to pozytywną, rolę w owym procesie. To on przecież, jako jednoosobowy sędzia w pierwszej instancji wydał ten właśnie wyrok, który przyznał rację Zenonowi Przesmyckiemu i który, pomimo odrzucenia go w apelacji, doczekał się uważnego rozpatrzenia przez Sąd Najwyższy, i w rezultacie, po uchyleniu go przez ów sąd, nabrał mocy prawnej, przynosząc wielką satysfakcję nie tylko samemu Przesmyckiemu, ale także wszystkim autentycznym znawcom i miłośnikom Norwida.

To on również, co warto podkreślić, był jedynym sędzią, któremu Leon Okręt

(1864–1937), wiarygodny i uważny sprawozdawca wszystkich faz tego sensacyjnego procesu, poświęcił osobną a bardzo pochlebną wzmiankę dotyczącą zawiłych wyjaśnień Emila Breitera: „kiedy sędzia Rybiński – który, widać to z jego pytań, stał się już wielkim znawcą Norwida, a może będzie przyszłym zdecydowanym norwidzistą – żądał odpowiedzi, dlaczego w epoce istnienia polskiego prawa autorskiego pan Pini i jego wydawca tak beztrąsko potraktowali «zastrzeżone prawa» i nie uszanowali nawet tych utworów, które tylko jedyny Miriam odtworzył w swych *Ineditach*”.

Co ważniejsze, ten najistotniejszy chyba uczestnik owego procesu żył przecież w trakcie pisania przez Missunę jego warszawskiego pitawala i z największą łatwością mógłby go poinformować o tych realiach procesowych, o które nie mógł zapytać ani Przesmyckiego, Piniego, Beylina, Breitera czy też Ujejskiego lub Chrzanowskiego, ponieważ już od dawna nie żyli, ani których nie mógł odszukać w aktach procesowych, ponieważ te z kolei spłonęły w roku 1944.

Nie potrafię wytłumaczyć tego dziwnego (może po prostu niefrasobliwego?) opuszczenia. Nie potrafił go też zrozumieć sam zainteresowany sędzia Rybiński, czując się – co chyba zrozumiałe – w jakiś sposób zlekceważonym. Jego szybka reakcja na relację Missuny znalazła dobitny wyraz w obszernym liście, jaki skierował pod adresem jej autora (zarówno ten list jak i wszystkie inne przytaczam na podstawie posiadanych autografów – JWG).

„Warszawa, dnia 1 października 1960 r.

Wielce Szanowny Panie!

Dopiero przed kilkoma dniami do rąk mych trafiła książka pod tytułem *Warszawski pitawal literacki*, której Pan jest autorem. W jednym z rozdziałów tej książki jest mowa o procesie o prawa do spuścizny literackiej po Cyprianie Norwidzie.

Mocno ubolewam nad tym, że nie miałem sposobności poznać treści tego rozdziału, zanim się ukazał w druku, i nie wiem, dlaczego Pan, zbierając materiały do tego rozdziału przed jego napisaniem i nie mogąc od adw. Jana Lesmana otrzymać tekstu jego mowy na rozprawie w Sądzie Okręgowym, nie zwrócił się do mnie. Przecież na pewno Pan wiedział, że sędzią przewodniczącym w jednoosobowym sądzie pierwszej instancji byłem ja i do mnie przede wszystkim po potrzebne materiały można było się zwrócić.

Znamy się ze sobą od lat szeregu i spotkanie się ze mną nie przedstawiałoby dla Pana większych trudności. Wtedy by Pańska relacja o procesie wypadła bardziej obiektywnie, z mniejszą szkodą dla rzeczywistego stanu rzeczy, mniej też dla mnie krzywdzącą.

Bowiem przygotowanie się do rozprawy i następnie przeprowadzenie procesu kosztowało mnie dużo czasu i pracy. Przed każdym z trzech kolejnych terminów wyznaczonych na rozprawę starałem się poznać możliwie więcej prac poświęconych bibliografii utworów Norwida, przeczytać większą ilość tych utworów wydanych przez Miriam i porównać z ich tekstami teksty tychże utworów w wydaniu prof. Tadeusza Piniego.

Uważając, jak wielkie znaczenie dla kultury polskiej miał ów proces o spuściznę literacką wielkiego poety, zbadałem z możliwą dokładnością stan faktyczny sprawy i zastanowiłem się nad kwalifikacją prawną, którą w uzasadnieniu wyroku streściłem przez wyczerpujące omówienie szeregu artykułów ustawy o prawie autorskim, a następnie przepisów międzynarodowego prawa prywatnego.

Na podstawie tych danych przyszedłem do zgodnego z opinią biegłych, a w sprawie tej najbardziej autorytatywnych, wniosku, że teksty wydanych przez Miriam utworów Norwida noszą cechy osobistej twórczości wydawcy i że prof. Tadeusz Pini wydając teksty tychże utworów dopuścił się na szkodę Miriam występku przewidzianego w art. 65 ustawy o prawie autorskim. Zgodnie z wydanym przeze mnie wyrokiem z 27 września 1935 r. mam przekonanie, że prof. Tadeusz Pini sprofanował poezję Norwida, że strywializował wydane przez siebie utwory poety.

Sprawa Miriam *contra* Pini była rozpoznawana następnie przez sądy wyższych instancji i ostatecznie wyrok mój co do uznania winy prof. Tadeusza Piniego i wymierzonej mu kary grzywny stał się prawomocny. Sprawa została osądzona ostatecznie wyrokiem Sądu Najwyższego z 15 i 19 lutego 1937 r. («Zbiór Orzeczeń Izby Karnej S.N.» z lipca 1937 r.).

Tym boleśniej zostałem dotknięty, gdy Pan w relacji swej o sprawie Miriam *contra* Pini, po zacytowaniu opinii biegłych, opinii całkiem ze sobą zgodnych, a dla oskarżonego, prof. Tadeusza Piniego, nieprzychylnych, nie przytaczając wywodów podanych w uzasadnieniu mego wyroku, uznał za wskazane zacytować fragment uzasadnienia wyroku Sądu Apelacyjnego z dnia 10 marca 1936 r., wyroku obalającego opinie biegłych i wyniki wydanego przeze mnie, a uchylonego następnie i ostatecznie przez Sąd Najwyższy.

Gdyby w swojej relacji Pan w imię bezstronności przytoczył treść uzasadnień wyroków sądów wszystkich trzech instancji i podał nazwiska wszystkich sędziów, którzy rozpoznawali sprawę, to by naturalnie było na miejscu przytoczenie opinii przewodniczącego w Sądzie Apelacyjnym sędziego Adolfa Kellera, chociaż wyrok jego został uchylony przez Sąd Najwyższy. Ale ponieważ w recenzji [tak! – JWG] nie podano treści wyroków pierwszej i drugiej instancji (być może dlatego, że odnośne akta zaginęły) i nie streszczono uzasadnienia wyroku Sądu Najwyższego, którym tamte wyroki zostały [chyba: uchylone – JWG] oraz nie wymieniono nazwisk innych sędziów, którzy sprawę sądzili, a w tej liczbie i nazwiska Kazimierza Fleszyńskiego, sprawozdawcy w Sądzie Najwyższym – przytoczenie opinii sędziego Adolfa Kellera w recenzji było zbędne.

Bo wygląda tak, że tylko sam jeden sędzia Keller miał rację, że biegli się pomylili, że prof. Tadeusz Pini został niesłusznie skazany, a wszyscy inni sędziowie-anonimy na próżno się trudzili.

W ten sposób powaga rzeczy już osądzonej została zachwiana.

Nie dość na tym, i chcąc się dowiedzieć, jak po przeszło dwudziestu latach od zakończenia procesu, w którym sądy wypowiedziały się na temat interpretacji praw autorskich, «oceniana jest dziś przez naukę współczesną praca Przesmyckiego-Mi-

riama nad Norwidem», a więc czy czasem nie była ona całkiem bagatelną, zwrócił się Pan z takim zapytaniem do «najwybitniejszego współczesnego norwidologa», p. Juliusza Gomulickiego. Jednak pan J. Gomulicki w swej notatce pod tytułem «Słówo o pewnej legendzie» nie wypowiedział się o sprawie, której Pan poświęcił swą recenzję i w której chodziło o ustalenie winy oskarżonego prof. Tadeusza Piniego w tym, że umyślnie i celowo wadliwie przedrukował teksty wydanych przez Miriam utworów Norwida i skaził ich treść i piękno. Pan J. Gomulicki, składając «pokłony» Miriamowi jako norwidycie i przyznając, że Miriam był subtelnym komentatorem i ambitnym i pracowitym wydawcą dzieł Norwida, wysunął tylko przeciwko niemu zarzut dopuszczenia się błędów «filologicznych» przy odtworzeniu autentycznych tekstów Norwida. Sądy jednak, nie mając na przewodzie sądowym rękopisów Norwida, nie potrzebowały decydować, czy Miriam, odtwarzając teksty utworów, nie popełnił błędów przy odczytywaniu rękopisów.

Dopuszczając słuszność zdania p. J. Gomulickiego, że Miriam przy wykonaniu swej olbrzymiej pracy mógł dopuścić się pewnych błędów filologicznych, twierdząc jednak, że kwestionowane przezeń oświadczenie znakomitego uczonego prof. Ignacego Chrzanowskiego, że «w opracowaniu dzieł Norwida przez Miriam, jak w książce logarytmów, błędów nie ma», o ile takie dobitne określenie da się zastosować w innej sferze ducha, nie straciło na znaczeniu. «Legenda» będzie trwać.

Miriam był godnym Norwida interpretatorem i wydawcą dzieł wielkiego poety; prof. Tadeusz Pini – niefortunnym, naruszającym sens i piękno popularyzatorem.

Legenda straci na aktualności, o ile ukaże się nowe wydanie dzieł Norwida, w którym odtwórca, po usunięciu istotnie możliwych, a nie rzekomych błędów «filologicznych» Miriam, dorówna mu w pracowitości i w wielkim darze poetyckim. – Pozostaję z szacunkiem.

Stanisław Rybiński”

Missuna odpowiedział na ów list dopiero 15 listopada, tłumacząc się, że choroba żony oraz pilne zajęcia zawodowe nie pozwoliły mu ustosunkować się do wielu szczegółowych pytań Rybińskiego, ale proponując mu opublikowanie jego listu w drugim wydaniu swojej książki, czyli odkładając wszystko *ad calendas graecas*, jego pitawał bowiem miał niewielkie szanse na drugą poprawioną edycję. Sędzia Rybiński z kolei, który wkrótce po otrzymaniu odpowiedzi Missuny złamał nogę i długo się kurował, odpowiedział mu z tego powodu dopiero 18 marca 1961 r., zgadzając się na jego „uprzejmą propozycję” i jeszcze raz prosząc go o uwzględnienie w owym drugim wydaniu nazwisk wszystkich sędziów uczestniczących w „rozpoznaniu sprawy w sądach wszystkich instancji”. Równocześnie prosił jednak Missunę, żeby nie czekając na to nowe wydanie już teraz opublikował odpowiednie poprawki, a razem z nimi i list przesłany mu w 1960 roku.

Missuna na ten list w ogóle nie odpowiedział.

Sędzia, nie doczekawszy się zapowiadanego drugiego wydania, poczekał dwa lata, „kończąc się jeszcze na tym świecie i gotując już być może do rychłego odej-

ścia”, i po raz trzeci zdecydował się do powtórzenia swojej dawnej prośby w liście z 7 marca 1963 r. „Dopóki żyję – dodał, przepraszając adresata za swoją „natarczywość” – staram się ocalić od niepamięci chociażby szcztątki swej pracy na polu sądownictwa”.

I na ten list nie otrzymał odpowiedzi, chociaż cierpliwie czekał na nią półczwarta roku, dochodząc już prawie 86 lat, ale jeszcze wierząc w poczucie odpowiedzialności oraz przyzwoitości swoich ówczesnych młodszych kolegów spod znaku Temidy. Swoją piątą list, napisany 15 grudnia 1966 r., zaczął zresztą, zgodnie ze staropolską tradycją, od życzeń świątecznych i noworocznych: „Winszuję Panu nadchodzących Świąt Bożego Narodzenia i nowego 1967 Roku – napisał więc do Missuny – życzę Panu zarówno wszelkich pomyślności i jednocześnie z góry przepraszam za moje natręctwo”.

„Natręctwo” sędziwego prawnika dotyczyło oczywiście tej samej sprawy, która była przedmiotem jego poprzednich listów. Nie bardzo już wierząc teraz w ukazanie się drugiej edycji *Warszawskiego pitawała*, wyszczególnił w tym liście inne sposoby, jakie można było wyzyskać w celu poprawienia błędów i dopełnienia braków w norwidowskim rozdziale owej książki.

„O ile by Pan uznał takie załatwienie za nieodpowiednie (...), to bym prosił Pana Prokuratora o zwrócenie się do pana Juliusza Gomulickiego z uprzejmą prośbą o wydrukowanie recenzji Pańskiej (...) treści [tj. rozdziału norwidowskiego – JWG] wraz z odpisem listu mego na marginesie, w której bądź pracy swej o Norwidzie lub w swych norwidianach”.

„Być może – dodał jeszcze w ostatnim akapicie – że pan J. Gomulicki pomoże Panu w wydaniu wymienionej powyżej recenzji Pańskiej [tj. odpowiedniego sprostowania i dopełnienia owego rozdziału – JWG]. Na wszelki wypadek podaję, według książki telefonicznej [aktualny] adres p. Juliusza W. Gomulickiego: ul. Krasińskiego 18, i numer jego telefonu: 332 332”.

Missuna i na ten list nie zareagował, co musiało stać się ostatnią kroplą w pucharze pełnym już goryczy, jaką stanowiła dla Sędziego jego norwidowska korespondencja z młodszym kolegą, i co skłoniło go do przesłania jeszcze jednego, ale już tym razem „ostatniego” listu, powierzonego „osobie zaufanej” (którą był zapewne, jak wynika z ostatniego akapitu, „dobry przyjaciel” piszącego, a mianowicie sędziego Stanisława Szostak). Oto zaś trzy najważniejsze fragmenty tego listu:

1. „Uprzejmie proszę Pana Mecenasa o zwrócenie mi oryginałów całej mojej korespondencji z Panem w tej kwestii” (norwidowskiej – JWG).

2. „Jednocześnie proszę mi nadesłać oświadczenie na piśmie (...), że się nie sprzeciwi ogłoszenia drukiem zmian w recenzji Pańskiej o rozprawach w sprawie Miriam *contra* Pini, i odpisu pierwszego listu mego w tej sprawie”.

3. „Nie wiem, czy rozmawiał Pan o mojej prośbie z Panem Juliuszem Gomulickim. Może on dołączy fragmenty [moich listów] do swych norwidianów. Myślę poruszyć z nim listownie tę kwestię lub znajdę kogo innego, który mi w tym pomoże”.

List starego Sędziego, datowany 25 lutego 1967 r., został dostarczony adresatowi

najpóźniej w połowie marca, już bowiem 19 marca tegoż roku **odpisał** nań Missuna, po raz pierwszy może uświadamiając sobie (jakby to delikatnie ująć?) niewłaściwość swego zachowania w stosunku do tak zasłużonego, a ponadto tak sędziwego przedstawiciela ówczesnego sądownictwa. Oto zresztą treść jego listu:

„Wielce Szanowny Panie Sędzio!

Jest mi niezwykle przykro, że nie mogłem wykonać Pana prośby i sprostować niedokładnych relacji, jakie się zakradły do rozdziału o procesie Miriama Przesmyckiego *contra* Pini w książce mojej. O jej drugim wydaniu, niestety, ani w bliższej, ani dalszej przyszłości nie ma mowy, a sprawa obecnego prostowania, 7 lat po jej wydaniu, takich czy innych niedokładności całkowicie się zdezaktualizowała i żadna redakcja na pewno nie przyjąłaby wyjaśnień na ten temat ode mnie.

Stosownie do życzenia wyrażonego przez Pana Sędziego w Jego liście z dnia 25 lutego br., przesyłam w załączeniu te listy otrzymane od Pana Sędziego, które zachowały się w moim archiwum, w szczególności pierwszy list Pana Sędziego do mnie z dnia 1 października 1960 r., zawierający wszystkie merytoryczne zarzuty w odniesieniu do mojej pracy.

Jednocześnie oświadczam, że nie mam żadnych zastrzeżeń co do ogłoszenia przez Pana Sędziego w prasie zawodowej, prawniczej lub literackiej, Jego uwag odnoszących się do stwierdzonych w mojej pracy nieścisłości.

Proszę przyjąć, Panie Sędzio, wyrazy mego najgłębszego szacunku i poważania. – O. Missuna”.

Opublikowany tu list, który powinien być napisany już kilka lat wcześniej, całkowicie już przypieczętował korespondencyjne kontakty obu prawników.

V

Wydaje mi się, że sędzia Rybiński dowiedział się o mnie jako o znawcy Norwida dopiero z książki Missuny, wiem jednak, że miał w rękę moje *Wprowadzenie do biografii Norwida* (1965), ponieważ wspominał je w liście do Missuny z 5 grudnia 1966 r., zaznaczając równocześnie, że w ogłoszonej tam bibliografii nie ma wzmianki o książce Missuny (a nie mogło jej być, ponieważ pośmiertne dzieje „kultu” Norwida zamknąłem w niej na roku 1905). Jakże żałuję jednak, że nie dowiedział się o wydanych w następnym roku dwóch tomach *Dzieł zebranych* Norwida, zaczynających się od mej obszernej „Przedmowy”, której dwa pierwsze rozdziały poświęciłem w całości norwidowskiej biografii Miriama-Przesmyckiego, a w jej ramach aż 9 stron (XXXVI-XLIV) zarówno edycji Piniego jak i (krótko) późniejszemu procesowi. Wspominałem przy tej sposobności pitawał Missuny, ale równocześnie podkreśliłem, że „najdokładniejszy opis” tego procesu wyszedł spod pióra mecenaśa Leona Okręta.

A toż by się Sędzia ucieszył, znajdując w moim tekście prawie identyczne wypowiedzi i oceny, jakie sam zawarł w listach do Missuny, ale na które nie mógł się wszakże powołać.

Nie zaniedbał jednak (a jakie to istotne!) „poruszyć” ze mną „listownie” tego wszystkiego, o czym nadaremnie pisał do Missuny, a co dla starego i chorego człowieka miało takie wielkie znaczenie. I osobiste bowiem, i historyczne.

W przeciwieństwie do własnoręcznie pisanych przez Sędziego listów do Missuny, ten list doszedł do mnie w maszynopisie, najwidoczniej dyktowany przez niego komuś zaufanemu. Adres mój znalazł w książce telefonicznej, ponieważ zaś sam nie miał telefonu, musiał o to kogoś poprosić. Domyślam się dzisiaj, że tym pośrednikiem mógł być sędzia Stanisław Cichosz, z którym kontaktowałem się osobiście w maju 1967 r. i któremu zawdzięczałem ułatwienie moich norwidowskich poszukiwań w aktach Hipoteki warszawskiej.

Oto jednak tekst listu, który – gdyby wrzucono go do skrzynki w tym samym dniu, w którym został napisany, czyli w piątek 9 czerwca 1967 r., powinien trafić do mnie w poniedziałek 12 czerwca. Albo więc list solidnie przeleżał się w mieszkaniu sędziego, albo też Sędzia opuścił przed dziewiątką jedynkę, czyli że list mógł być wysłany albo w poniedziałek 19. czerwca, albo też we wtorek 20.

Opowiadał mi się za tą ostatnią datą, pamiętam bowiem, że ów list tak mnie poruszył, a także – co tu ukrywać – wzruszył, iż jeszcze tego samego dnia, czyli we środę 21 czerwca (potwierdzenie tego znajduję w mojej agendzie) wybrałem się do sędziego Rybińskiego. „Jak mogę zwlekać – pomyślałem wtedy – skoro sędzia ma już 86 lat i jest ponadto kaleką. Cóżby pomyślał o moim wychowaniu?”

„Warszawa, dnia 9 czerwca 1967 roku.

Wielce Szanowny i Łaskawy Panie Redaktorze!

Uprzejmie Pana przepraszam, że ten list zabierze Panu nieco cennego dla Pana, a dla wszystkich nas, Polaków, niezwykle potrzebnego czasu.

Chodzi mi jednak o to, żebyśmy nie za długo przed opuszczeniem świata tego pozostawił po sobie okruchy swej myśli i pracy poświęconych wzniosłości Wielkiego Poety naszego, Cypriana Norwida, i potwierdzenia wiekopomnej zasługi Zenona Przesmyckiego-Miriama, który, sam posiadając wielki talent i zmysł poetycki, potrafił wyrzec się własnej twórczości, [aby] podźwignąć z zapomnienia i przywrócić do życia płód wspaniałej twórczości Wielkiego Norwida.

Nazywam się Stanisław Aleksander (dwojga imion) Rybiński i jestem sędzią Sądu Apelacyjnego w Warszawie w stanie spoczynku (od 1 lipca 1958 roku). Swój wiek dziecięcy i młodość spędziłem w domu rodzicielskim. Kształciłem się w gimnazjum klasycznym w Rewlu (obecnie Tallin, stolica Estonii), a następnie odbyłem wyższe studia na wydziale prawnym Uniwersytetu w Petersburgu.

Prawie od swych pierwszych lat gimnazjalnych poświęcałem swe wolne chwile czytaniu dzieł poetyckich Adama Mickiewicza i Ludwika Kondratowicza-Syrokomli, a następnie poezji J. Słowackiego, Z. Krasińskiego i innych wybitniejszych po-

etów polskich i rosyjskich. W tej liczbie poezji Wiktora Gomulickiego, śp. Pańskiego Ojca, i w końcu utworów poetyckich, oryginalnych i tłumaczonych, Zenona Przesmyckiego. Nazwisko „Przesmycki” zwróciło specjalnie moją uwagę, ponieważ matka moja przed swym zamęciem używała tego nazwiska i należała do rodziny Przesmyckich herbu Przerowa, od początku XVIII wieku osiadłej w miasteczku Gródek pod Kamieńcem Podolskim. Nie mogłem się jednak dowiedzieć, czy Zenon Przesmycki-Miriam do tej rodziny należał i był krewnym mej matki i moim, a i później nie zdecydowałem się na to po otrzymaniu polecenia służbowego, z obawy stronnictwością wyłączenia się z procesu, gdyby się okazało, że istotnie łączą mnie z Miriamem jakieś bliższe związki rodzinne; tym bardziej obawa ta była słuszna w obliczu uprawianej w owym czasie przeciwko Miriamowi przez „Wiadomości Literackie” i Antoniego Słonimskiego nagonki, która by jeszcze [bardziej] wzmogła [się] po wytoczeniu przez Miriamą przeciwko Tadeuszowi Piniemu sprawy o prawa autorskie do dzieł Norwida. W sprawie tej przeprowadziłem rozprawę sądową jako sędzia jednoosobowy w Sądzie Okręgowym w Warszawie, w dniu 27 września 1935 roku, i wydałem wyrok skazujący Profesora Piniego.

Następnie z niepokojem oczekiwałem na dalsze losy tej sprawy w następnych instancjach, mając mocne przekonanie o słuszności [i] sprawiedliwości wydanego przeze mnie wyroku. Wreszcie doczekałem się ostatecznego wyroku wydanego przez Sąd Najwyższy w dniach 15 i 19 lutego 1937 roku, którym wyrok mój co do uznania winy prof. Piniego i wymierzonej mu kary został prawomocnie zatwierdzony i ostatecznie rozstrzygnięty (patrz «Zbiór Orzeczeń Izby Karnej Sądu Najwyższego», zeszyt VII, 1937 rok, nr 203).

Tym bardziej zostałem poruszony, gdy po szeregu lat, w roku 1960, ukazała się książka p. Olgierda Missuny pt. *Warszawski pitaval literacki* i w niej recenzja o wymienionej powyżej sprawie Miriam *contra* Pini, w której, na ogół nieprzychylnie dla Miriamy [ujęte], zostały powtórzone zarzuty postawione ongiś Miriamowi przed ostatecznym rozstrzygnięciem jego sprawy z prof. Pinim, przy całkowitym zignorowaniu autorytatywnych opinii biegłych, aż po dziś uważanych za wybitnych przedstawicieli nauki, i opartych na ich opinii decyzji sądów.

Przy tym autor recenzji – człowiek o wybitnej inteligencji, i w dodatku znany prokurator, dopuścił się w redagowaniu treści tej recenzji niewyszukanych zwrotów: «sąd nie dał za wygraną» i «nieogłoszone jeszcze drukiem (jakby umyślnie) przez Miriamą utwory ujrzały światło dzienne» (obydwa cytaty z błędami – JWG).

Po zaznajomieniu się z treścią wymienionej wyżej recenzji i z formą jej zredagowania, zwróciłem się do pana Olgierda Missuny z prośbą o sprostowanie jego recenzji i o wprowadzenie niewielkich zmian w recenzji przy następnym wydaniu jego książki. Pan Missuna przyrzekł mi uprzejmie uwzględnić moją prośbę, ale przyrzeczenia tego nie dotrzymał, gdyż Wydawnictwo «Czytelnik» nie wydało ponownie jego książki, a on sam, jako autor nietrafnej recenzji, nie zatroszczył się w ciągu wielu lat, w porozumieniu ze mną, o inny sposób wyjścia z sytuacji.

Wobec powyższego wycofałem od niego całą moją korespondencję z nim i teraz

chodzi mi tylko, aby cała korespondencja moja z p. Missuną była przychylnie przez Pana Redaktora przyjęta i dołączona do zbioru przechowywanych przez Niego «norwidianów» i, w razie nadarzającej się potrzeby, zawarte w niej materiały mogły być spożytkowane w której bądź z prac Pańskich.

Chodzi mi o to, żeby coś z wielkiej pracy mojej zachowało się dla potomności, gdyż akta sprawy Miriam *contra* Pini spłonęły przy pożarze Archiwum Sądu Okręgowego w Warszawie, a w nich zawarte protokoły zeznań świadków oraz opinie biegłych, oraz wyrok mój, z dokładnym uzasadnieniem, zostały zniszczone ostatecznie.

Projektowana przez pełnomocników Miriama książka z dokładnym opisem całej sprawy nie ukazała się w druku.

Dlatego też najuprzejmiej proszę Pana Redaktora, by był łaskaw osobiście odwiedzić mnie w moim mieszkaniu, przyjąć ode mnie posiadane przeze mnie materiały i rozmówić się ze mną.

Mam obecnie lat 86, w dodatku, po złamaniu nogi w roku 1960, nie wychodzę. Ponieważ mieszkam w Warszawie, na Żoliborzu, przy ulicy Mickiewicza nr 20 m. 22 (za rogiem Alei Wojska nr 13), nietrudno mnie odnaleźć. Tylko, nie chodząc, nie mogę otwierać drzwi frontowych mieszkania mego, więc łatwiej będzie do nas trafić, kiedy i ja, i żona moja jesteśmy oboje w domu, to jest po godzinie 4–5 po południu. – Pozostaję z głębokim szacunkiem. Stanisław Aleksander Rybiński”.

W jakiś czas po napisaniu tego listu, który zapewne przeleżał się przez dłuższy czas na biurku autora, zanim wysłał go pod moim adresem, dodał do jego tekstu dwustronicowe *post-scriptum*, którego tu nie przedrukowuję, ale z którego dowiedziałem się, że sędzia Rybiński należał do kompletu tych sędziów Sądu Apelacyjnego w Warszawie, którzy w roku 1939 rozpatrywali w drugiej instancji słynną wówczas sprawę prof. Stanisława Cywińskiego (wybitnego norwidologa!), oskarżonego o znieważenie w jednym ze swych artykułów pamięci Marszałka Piłsudskiego. Co ważniejsza, był on jedynym członkiem tego kompletu, który odważył się zgłosić w tej sprawie „odrębne zdanie”, głosując za uniewinnieniem oskarżonego.

W rezultacie ten ważny i wzruszający list sędziwego prawnika a zarazem, jak zażartował mecenas Okręt, „wielkiego znawcy Norwida”, a w przyszłości może i „norwidysty”, dotarł do mnie najwcześniej 20 czerwca, zanotowałem bowiem, że odwiedziłem Sędziego we środę 21 czerwca o godzinie 17, dobrze zaś pamiętam, że było to albo tego samego dnia, kiedy przyszedł list, albo następnego.

VI

Po przybyciu do wskazanej mi kamienicy przy Mickiewicza, stosunkowo łatwo odszukałem mieszkanie Sędziego i już po paru minutach otworzyła mi drzwi starsza, ale bardzo uprzejma pani (do dzisiaj nie jestem pewny, czy to była „żona” Sędziego, którą wspominał w liście, czy też ktoś z kręgu jego przyjaciół). Zaraz po

wejściu znalazłem się w długim, ale bardzo skromnieumeblowanym pokoju, przy którego lewej ścianie, pośrodku, w poprzek pokoju, stało łóżko, na którym leżał bardzo stary pan o mocno posiwiałych już włosach i rzadkich, krótko obciętych wąsach, oraz o bladej twarzy, z której wyzierały jednak przenikliwe, chociaż bardzo już zmęczone oczy. Oczy te rozjaśniły się jednak na mój widok. Szacunek zaś, z jakim się mu ukloniłem, a potem uściśnąłem wyciągniętą ku mnie rękę, musiał być mu przyjemny, zaraz bowiem ożywił się i jakby trochę roztajał. A kiedy zacząłem mówić – pragnąłem bowiem jak najszybciej przekonać go, że mamy takie same poglądy na wielkość Miriama i małość Piniego, a także – co tu dożo mówić – na postawę Missuny, i żeby od razu zrozumiał, iż ma przed sobą przyjaciela, któremu można zaufać.

Ożywił się zaraz i jakby odmłodził, potem zaś, chociaż trudno mu było mówić, zaczął mi powoli wyjaśniać to wszystko, co w liście do mnie było jedynie zamarkowane. To, co było w jego wypowiedzi wielkie i piękne, zawsze łączyło się z Norwidem i z Miriamem. W tym z kolei, co dotyczyło samego procesu, stale gorączka przeplatała się z oburzeniem, a głęboki żal z cichą nadzieją.

– Może to, co mówię, jest niezbyt jasne – zauważył w pewnej chwili – ale jak pan przeczyta te tutaj listy – tu sięgnął ku jakiejś leżącej na podłodze tece i wydobył z niej dużą kopertę – to zaraz pan zrozumie, o co mi chodzi i co ciągle mnie niepokoi.

W kopercie znajdowała się cała jego korespondencja z Missuną.

– Zapewniam pana, panie sędzio, że wszystkie te listy parokrotnie i bardzo uważnie przeczytałem, a potem złożyłem panu sprawozdanie z mojej lektury.

Opowiedziałem mu następnie o moich rozmowach z Missuną oraz o napisanym na jego prośbę „słówku” o kilku pomyłkach Miriama.

– Tu muszę dodać – ciągnąłem dalej – chociaż może się trochę panu sędziemu narażę, bo to pan przecież uznał, że Miriamowi przysługują nie tylko prawa autorskie przekazane mu przez ich ostatnią posiadaczkę, co nie powinno podlegać wątpliwości, ale również prawa **samoistne**, ponieważ jego „opracowanie wydawnicze” utworów Norwida miało „cechy twórczości”. W tym przypadku uznał pan za „autorytatywne” wypowiedzi profesorów Chrzanowskiego i Ujejskiego, nie zwracając uwagi na tę okoliczność, że oni sami, nie posiadając autorytetu znakomitych edytorów i nie przeprowadziwszy żadnych badań porównawczych nad publikowanymi przez Miriama tekstami, a nawet nie sformułowały w sposób naukowy a zarazem czytelny ustawowych „cech twórczości”, wyrazili swoje opinie niezgodnie z **literą** prawa autorskiego. Z tego właśnie powodu tak mocno sprzeciwiałem się w swoim „słówku” przesadnemu i nienaukowemu twierdzeniu prof. Chrzanowskiego, jakoby opracowanie tekstów Norwida przez Miriama było równie bezbłędne jak „książka logarytmów”. I ja jednak zgadzam się z panem sędzią w sprawie przyznania pracy Miriama cech twórczości, z tym jednak zastrzeżeniem, że to wynika nie z **literą** prawa autorskiego, ale z tak często lekceważonego w trakcie tego rodzaju procesów **ducha** owego prawa.

– Toć to osobliwy a jedyny w historii literatury polskiej przypadek, że jeden zaledwie człowiek: a) ocalił spuściznę po wielkim a zlekceważonym pisarzu, b) że tę spuściznę nie tylko uporządkował, ale również ogromnie wzbogacił dzięki dalszym poszukiwaniom, c) że najważniejszą część jego twórczości opublikował drukiem, popełniając czasem błędy, ale wielokrotnie poprawiając pomyłki samego autora, d) że poświęciwszy ponad 35 lat swego życia temu autorowi, stał się dzięki swej wiedzy i talentowi największym znawcą jego twórczości i jej znakomitym komentatorem, e) że swoją ocenę twórczości Norwida narzucił, dzięki swemu autorytetowi, innym badaczom literatury polskiej, którzy poszli jego śladem, pomnażając i dopełniając zapomnianą twórczość zrehabilitowanego pisarza, no i na koniec: f) że tego rodzaju wskrzeszenie wielkiego a zlekceważonego pisarza wyczerpuje chyba wymagane przez ówczesne prawo autorskie „cechy twórcze” i jest zgodne z duchem tego prawa, mającym przecież pierwszeństwo przed jego literą. Czy pan sędzia zgodzi się z moim, trochę zaimprovizowanym, wywodem?

Sędzia, uważnie wsłuchany w moją, uporządkowaną tu, gadaninę, przeczekał chwilę i dopiero potem mi odpowiedział.

– Drogi panie, nie jestem badaczem literatury i prawdopodobnie przeceniłem opinie profesorów Chrzanowskiego i Ujejskiego, ale niech mi pan wierzy, że w przepadłym niestety uzasadnieniu swego wyroku kierowałem się analogicznymi przesłankami, chociaż je inaczej formułowałem. Jestem ogromnie rad, że pana poznałem i tuszę sobie, że nasz kontakt przyniesie nam obu satysfakcję. Bardzo przypadło mi do serca pańskie wyliczenie zasług Miriama. Skądciś słyszałem, że pan go znał osobiście. Czy to prawda?

Potwierdziłem tę informację, ale widząc wyraźne zmęczenie mego sędziwego interlokutora, zaproponowałem, że o Miriamie opowiem mu na następnym spotkaniu, kiedy dokładnie przestudiuję ofiarowane mi listy, a on spokojnie przemyśli moje uwagi.

Pożegnałem go serdecznie i natychmiast po powrocie do siebie zabrałem się do czytania ofiarowanych mi listów, stale podziwiając jego poczucie sprawiedliwości. Nie tylko w wyrokach sądowych oczywiście, ale również w ocenianiu informacyjnego a zarazem bezstronnego i sprawiedliwego waloru cudzych utworów. W tym przypadku chodziło naturalnie o relację Missuny na temat norwidowskiego procesu Miriam *contra* Pini.

Kilka następnych dni wypełniły mi moje aktualne prace literackie i wydawnicze (Państwowy Instytut Wydawniczy, „Arkady” i „Czytelnik”), które stale jednak przepłatałem uważną lekturą listów Rybińskiego, konfrontując od czasu do czasu ich treść z tekstem sprawozdań Okręta, przemówieniem Breitera oraz posiadanymi wycinkami z „Wiadomości Literackich”. Tak więc wyszło, że moja druga wizyta u Rybińskiego przypadła dopiero na sam koniec czerwca.

Wygląd Sędziego bardzo mnie wtedy przestraszył. Twarz jeszcze bardziej blada i zamglone oczy wyraźnie świadczyły, że czuje się bardzo niedobrze.

Pragnąc go zaraz nieco rozpogodzić, od razu zreferowałem mu mój stosunek do

przeczytanych listów, przyznając mu rację we wszystkich jego uwagach krytycznych, a w szczególności jego postulatowi, żeby Missuna w swoim „sprostowaniu”, które łatwo było wydrukować w jednym z ówczesnych czasopism prawniczych, wymienił nazwiska wszystkich sędziów, którzy w kolejnych instancjach procesowych brali czynny udział, odpowiadając za wydane wyroki. Jeszcze raz ponadto podkreśliłem wielkie zasługi samego Rybińskiego, wyrażając również sprawiedliwą opinię na temat zachowania się tak dobrze wychowanego, jak się pozornie wydawało, Missuny, który przez kilka lat nie odpowiadał na kolejne listy swego starszego o trzydzieści parę lat kolegi.

Ucieszył się tym, ale jeszcze większe zadowolenie przyniosła mu głośna lektura mojej obszernej, a już wydrukowanej przed rokiem wypowiedzi na temat edycji Piniego oraz procesu wytoczonego mu przez Miriamę. Gorąco go zapewniłem również, że nie musi już szukać kogoś innego do przechowania, a później wykorzystania, przekazanej mi korespondencji.

Staruszek bardzo się ożywił, wtedy zwłaszcza, gdy opowiadałem mu o mych parogodzinnych rozmowach z Miriamem. Wypytywał też mnie na temat moich spraw osobistych, przy czym okazało się, że już jako nastolatek poznałem ok. 1924 r. jednego z jego dawnych przyjaciół, a mianowicie generała lekarza Kazimierza Kardaszewicza, który był przez kilka lat kierownikiem Działu Starych Druków i Rękopisów w Bibliotece Publicznej i któremu właśnie zawdzięczałem bezpośrednio zapoznanie się z pierwodrukami ważnych dzieł polskich z XVI–XVII w., a także ze znajdującymi się tam listami mojego ojca. Bardzo był z tego zadowolony, a nawet obdarował mnie maszynopisem zawierającym wspomnienie owego generała, który z lekarza przekształcił się na bibliotekarza. Bardzo się też zdziwił i ucieszył, że i ja miałem za sobą studia prawnicze.

– Ach, to pan dlatego tak zainteresował się procesem Miriama-Przesmyckiego, zauważył.

Obaj z Sędzią bardzo byliśmy zadowoleni z tej rozmowy.

W ciągu następnych tygodni odłożyłem na bok wszystkie papiery związane z Miriamem i jego procesem, oddając się załatwianiu innych mych zobowiązań, ale ciągle stawała mi przed oczami żalonna postać starego Sędziego, tak że zdecydowałem się wreszcie, iż muszę go ponownie odwiedzić. Stało się to we środę 18 lipca i zaczęło od mego wielkiego zdumienia, sędzia bowiem nie tylko wyraźnie ucieszył się z mojej wizyty, ale nawet zaczął machać rękami, uśmiechając się i zapraszając, żebym usiadł na stołeczku, który stał obok jego łóżka, a potem wskazując mi palcem list leżący na jego stoliku nocnym.

Wziąłem tedy ów list do ręki i ze zdumieniem przeczytałem na nim swoje nazwisko i swój adres. Czyżby był przed chwilą napisany? Było jednak inaczej, list – napisany bardzo już drżącą ręką Sędziego – nosił datę 7 lipca, czyli przeleżał tam już 11 dni, oczekując na jakąś okazję (nie miał jeszcze znaczką pocztowego). Podaję go w całości.

„Warszawa, dnia 7 VII 1967 r. Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Zwracam się do Pana z uprzejmą prośbą, by nie zwlekając zanadto, był łaskaw

mnie odwiedzić, bo nie zdążyłem poinformować Pana o obu sprawach, o których z Panem Redaktorem, rozmawialiśmy.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania i pozostaję z głębokim szacunkiem. – Stanisław Aleksander Rybiński. Sędzia Sądu Apelacyjnego w st.sp.”.

Niewiele pamiętam z tej krótkiej rozmowy (Sędzia był bardzo zmęczony i obolały), to jednak, co utkwiło mi w pamięci, dotyczyło dwóch jego próśb. Po pierwsze, żebym swoje sądy na temat Missuny zachował przez dłuższy czas w milczeniu (zwłaszcza chodziło mu o jego obiecanki-cacanki); po wtóre, żebym pilnie strzegł powierzonej mi korespondencji, a z czasem przekazał ją, razem z mymi innymi norwidianami (jeżeli mam zamiar tak postąpić) do zbiorów publicznych.

Zapewniłem go, że tak uczynię i bardzo serdecznie pożegnałem, nie byłem bowiem pewny, czy go jeszcze zobaczę.

Moje przeczucia, jak się okazało, sprawdziły się o wiele wcześniej, aniżeli myślałem, już bowiem 22 lipca, a więc zaledwie w cztery dni po naszej rozmowie, Sędzia pożegnał się z tym światem.



Pogrzeb odbył się bodaj we środę 25 lipca 1967 r. na Starych Powązkach i pamiętam, że spotkałem się na nim, w drodze do grobu, zarówno z sędzią Cichoszem (tak popularnym później jako członkiem sędziowskiego komitetu telewizyjnej Wielkiej Gry), jak i z... mecenasem Missuną. W kondukcje szedłem jednak obok Cichosza, a w rękę trzymałem – jak mi to mile przypominała, w roku 1983 (!), bratanica a równocześnie córka chrzestna zmarłego, pani magister Wanda Tukanowicz – wiązanekę goździków.

Rad jestem, że byłem na tym pogrzebie, a jeszcze więcej rad, że wypełniłem powierzony mi prywatny testament nieboszczyka.

Nota o autorze:

GOMULICKI JULIUSZ WIKTOR (ur. 1909). Pisarz, filolog, historyk i badacz kultury (głównie literatury XVIII–XIX w.), historyk-varsawianista, rękopiśmiennik, tekstolog i edytor. Studia prawnicze na UW (1928–32, 1944) i w Warszawskiej Szkole Nauk Politycznych (1931–32). Studia psychologiczne i socjologiczne na Tajnym Uniwersytecie Warszawskim (1941–44). Doktor *honoris causa* Uniwersytetu Wrocławskiego. Członek-senior Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Członek honorowy Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza i towarzystwa Przyjaciół Książki. Wykładał literaturę i tekstologię na Uniwersytecie Warszawskim (1957–60 i 1983–85). Redaktor działu prawa *Encyklopedii Ultima Thule* (1935–39). Ponad 500 studiów, szkiców i przyczynków naukowych. Ponad 80 książkowych prac edytorskich. Główne zbiory własne: *Zygzakiem, Studia, szkice, przekłady* (1981) i *Aleje czarów* (2000). Główne prace edytorskie: *Wiersze* (edycja kompletna, 2 tom, 1966), *Pisma wybrane* (5 tom, wyd. 3, 1983) i *Pisma wszystkie Cypriana Norwida* (11 tomów, 1969–1976).